

# GIEŁDA

KOMEDYA PONSARD'A.

PRZEKLAD

*Henryka Cieszkowskiego.*

---

(Początkowe sceny pierwszego aktu).

**OSOBY** (*w tych scenach*).

---

DELATOUR, agent giełdy.  
DUBOIS, służący Delatour'a.  
MARGRABINA.  
LEON DESROCHES.  
PIOTR, służący Desrocha.

Wspólnik Duboisa.  
Rzemieślnik 1szy.  
Rzemieślnik 2gi.  
Stara kobieta.

---

## AKT I.

(Scena u pana Delatour'a, agenta giełdowego w Paryżu; drugi salon w głębi—drzwi na lewo do przedpokoju, dwoje drzwi na prawo, jedno do sali jadalnej, drugie do pańskiego gabinetu. W środku salonu stolik pełen albumów).

### SCENA PIERWSZA.

DUBOIS w paradnej liberyi, porządkuje lampy i krzesła w salonie; PIOTR, potem klienci i wspólnicy Dubois'a.

*Piotr (wchodzi z listem w rękę).*

Czy tu pan Delatour?

Dubois (*obracając się*).

Tu: czego, dobrodzieju?

A, to Piotr?

Piotr.

A, to Maciój? Jak się masz Macieju!

Dubois.

Nie jestem już Maciejem: Dubois me nazwisko.  
Pan Dubois.

Piotr.

Pan—pan Dubois!

Dubois.

Tak jest. A chłopczysko  
Co tu robi w Paryżu? Co go z wsi ubogiej,  
Od pługa i od wołów, w miejskie wiedzie progi?

Piotr.

Przybyłem z moim panem, bo z nim w każdej drodze,  
A posłany od niego z listem tu przychodzę.

Dubois (*biorąc list i czytając podpis*).

Do pana Delatoura; wręczę: spiesz powiedzieć.

Piotr.

Kto jest ten pan Delatour, czy nie można wiedzieć?

Dubois.

Agent giełdowy.

Piotr.

Któż to?

Dubois.

Ten, którego praca

Robi, tworzy, obraca....

Piotr.

A co on obraca?

Dubois.

Jednym zamachem pióra, gdy dobrze natchniony,  
Od razu w milion nic, lub w nic miliony:  
Rozumiesz?

Piotr.

A to kuglarz?

Dubois (*wzruszając ramionami*).

Prostak! To daremno,  
Szkoda czasu; nie pojmie, tak ma w głowie ciemno.  
(*uderza go po ramieniu*)

No, idź już.

Piotr.

Lecz Macieju, pozwól jeszcze chwilę.

Dubois.

Pan Dubois się nazywam.

Piotr.

Już się nie pomylę.

*(oglądając salon).*

Jak tu ładnie, bogato! Musisz w dobre pióra  
Porastać w domu tego pana Delatoura.

Dubois *(puszczając się).*

Posiadam jego ufność—i dobrze, nie z biedą  
Obu nam, dzięki Bogu, interesa idą.  
Kiedyś, mój przyjacielu, może w czas niedługi  
Nie będę ja już służyć, ale mieć sam sługi.  
Zasnę we własnym domu pod kotarą litą,  
Staną moi lokaje za moją karétą;  
Z prawem pańskich kaprysów i chimer i kwasów,  
Nie skorych na mój dzwonek kpać będę fagasów.  
Gdy się zjawię na giełdzie otoczony licznie,  
Wchodzącego tłum szmerem powita publicznie;  
Podpis mój, więcéj będzie mieć wagi u tłumu,  
Niż sto imion uczonych i głośnych z rozumu;  
Będę miał huk przyjaciół, win wybornych kosze  
I zajadał potrawy, co dziś sam obnoszę:  
O tak!

*(do Piotra który stoi z otwartą gębą)*

Przyjdź wtedy do mnie, a ja cię bez sromu  
Przyjmę; będziesz lokajem u mnie: w moim domu.

*(wchodzi lokaj i daje znak Duboisowi)*

Lokaj *(cicho do Dubois).*

Czy można?

Dubois

*(cicho także oglądając się czy pan nie nadchodzi).*

Można.

*(Lokaj otwiera drzwi, w środku: wchodzi wiele osób w bluzach rzemieślniczych, lokaje i stara kobieta).*

Dubois *(do rzemieślnika podając mu banknoty).*

Oto masz twoje banknoty,  
Z trzystu franków potrącam sto za me kłopoty.

Pierwszy rzemieślnik.

Dziękuję panu Dubois: to niech dalej idzie,

Dubois.

Zgoda.

*(do drugiego rzemieślnika)*

Za koszta?

Drugi rzemieślnik.

Późniój, bom dziś w ciężkiej biédzie.

Dubois.

Dziś koniecznie, mekler chce, żąda, bije w trwogę.

Drugi rzemieślnik.

Pokredytuj dni parę.

Dubois.

Nie mogę, nie mogę!

Zapłać koszta dziś zaraz — lub pozwy sądowe.

*(Do staréj kobiety)*

A, dobry dzień wam matko! Jak zdrowie szanowne?

Stara kobieta.

Ot tak sobie: przychodzę spytać osobiście  
Jak tam idzie?

Dubois.

Nieogorzéj.

Stara kobieta.

Jaki zysk, korzyście?

Dubois.

Z tém na koniec miesiąca.

Stara kobieta.

Jak stoją papiery?

Kredytowe, i Doki i moje Bezjery?

Dubois.

Różnie. To się podniosą, to znowu opadną:

Przyjdźcie w końcu miesiąca, zdam sprawę dokładną.

Stara kobieta *(wracając)*.

To mój cały majątek — wszystko z mego mienia.

Dubois.

Żegnam.

Stara kobieta.

To posag mojej córki.

Dubois.

Do widzenia.

Stara kobieta *(wracając jeszcze)*.

Panie Dubois, czy liczyć na Sardynią, Włochy?

Żegnam.

Dubois.

Stara kobieta.

Bo na tych Niemców to ja ani trochy.

Dubois.

Do widzenia!

Stara kobieta *(wracając)*.

Im ciężko i ufać i wierzyć;

Lecz gdy się z Anglikami zechcemy sprzymierzyć,  
To Francya z Anglią razem.

Dubois.

Cierpliwości święta!

*(wypychając ją powoli)*

Idź już, idź już!

*(wchodzi wspólnik Duboisa)*

Dubois *(widząc przybyłego do tamtych)*.

Panowie, sesja już zamknięta.

*(wszyscy wychodzą prócz wspólnika)*

Dubois.

Co tam słyhać nowego?

Wspólnik.

Tracimy klienta.

Dubois.

Kogo?

Wspólnik.

Powieszzonego zastano węglarza.

Dubois.

O! to często giełdowym graczom się wydarza.

Wspólnik.

Pannę Różę dziś rano osadzono w kozie,  
Czerpiąc z pańskiej szufladki przesadziła w dozie;  
Złapano na uczynku, jak przez chciwą żądzę  
Brała mające zaraz przejść do nas pieniądze.

Dubois.

Niezgrabna! Weź tam z kassy gotówki połowę  
I kup zaraz północnych, bo spadły na głowę;  
Niech mekler ich dwadzieścia pięć zaraz nabędzie,  
A Doków i kopalni cynku się pozbędzie.  
Chodź za mną.

*(odchodzą)*

Piotr *(sam)*.

Co to jednak gdy szczęście przyplynie?  
Obaśmy z jednój gminy, w jednój wzrosli gminie,

Oba pasali owce, cały dzień za trzodą  
 Żyli razowym chlebem i zdrojową wodą.  
 A gdy ostry wiatr dmuchał, deszcz lał dobę całą,  
 Grzeli się przy ognisku wznieconém pod skałą.  
 Jam w orce był zręczniejszy—i wytknięciem długiem  
 Prościej niżli on krajał skiby moim pługiem;  
 On poszedł, będzie temu cztery lat niedługo  
 I już možny: ja zawsze tymże chłopskim sługą!  
 Próżno orzę i radłę, pruję ziemię marną  
 I zasiewam i zbieram, więcej z plewy ziarno;  
 Idę w pole o świcie, powracam o zmroku,  
 Pracując jak wół ciężko od roku do roku:  
 Gdybym tak sto lat przeżył, nie zarobię w męce,  
 Tyle co on przez miesiąc założywszy ręce.

(z goryczą)

Czyż to słusznie?

(*Dubois wraca*)

Dubois.

Przepraszam. To moi klienci,  
 Pan ma swoich, ja swoich; pana, to nadęci  
 Bankierowie, margrabie, posły, dygnitarze;  
 Moi, studzy, odźwierni i drobni kramarze.  
 Każdy z nas w cel swój mierzy drobną robót spisą:  
 Mój pan na przodku sceny, a ja za kulisą.  
 Lecz cóż mówić z prostakiem.

Piotr.

Pytam jednak ciebie,  
 Czemuż służysz lokajem, zamiast żyć u siebie?

Dubois (*siadając na fotelu*).

Potrzebuję żyć pańsko w zbytkach i z przepychem,  
 A nie mógłbym tak jeszcze pod mym własnym strychem;  
 Położenie me zresztą ma swą korzyść, zyski:  
 Podśłuchuję co mówią obnosząc półmiski,  
 Chwytam każdą nowinkę, mimo kursów skali  
 Kiedy rosną, spadają: i to mnie pcha dalej.

Piotr.

Czy wieśniak nie z tutejszych paryzkich paniczów,  
 Lecz wieśniak prosty sercem i prostych obliczów,  
 Mógłby na tém co zyskać?

Dubois.

A do kroćset katów,  
 Niedawno wieśniakowi dałem sto dukatów.

Piotr.

Sto dukatów?

Dubois.

W dniu jednym.

Piotr.

W dniu jednym, o cudzie!

To więcej niż zarobek lat dziesięciu w trudzie!

A czy to ciężko idzie?

Dubois.

Gdzie tam! Cała sztuka

Mieć węch dobry i szukać—to się i wyszuka;

Wiedzieć gdzie, jak i kiedy—a przyplynie chwilka:

Tu włożysz grosz, tam kilka...

Piotr (*szukając w kieszeni*).

Ja mam groszy kilka,

Weź, weź!

Dubois (*wstając*).

O! doprawdy ochota mnie bierze,

Temu nowicyuszowi przysłużyć się szczerze.

Piotr (*uradowany*).

Panie Dubois.

Dubois.

Masz z sobą?

Piotr.

Mam.

Dubois.

Ile pieniędzy?

Piotr.

Siedm do ośmuset franków.

Dubois.

Idź, przynieś czempredżę:

Dam im obrót natychmiast.

Piotr (*wyciągając rękę*).

Co za człek, daj rękę,

Niech najczulszym uściskiem złożę ci podziękę:

Niech ciebie ucałuję.

Dubois (*odpychając go*).

Wstrzymaj chęć zuchwałą!

Piotr.

O! gdyby się przynajmniej podwoić udało!

Co za szczęście! Magdusia żoną mą zostanie.

Biorę fermę o przyszłym zaraz świętym Janie,

Kupuję woły, krowy; chudoba przyrasta:

Gospozię moją z mlékem posyłam do miasta.

O! jak słodko pracować, zamecząć się pracą,  
Gdy dla siebie na własném jest o co i za co.  
Ach!

Dubois.

Odejdź, pan nadchodzi.

*(wyprawia go).*

## SCENA DRUGA.

DELATOUR, MARGRABINA.

Delatour.

Nie lękaj się, pani,  
Wszystko pójdzie najlepiej, najdogodniej dla niej.

Margrabina.

Lecz sekret.

Delatour.

To rzecz święta: co u nas, to skryte;  
Zresztą, takie roboty tutaj pospolite,  
Mogę panią przekonać księgą dokumentnie,  
Że całe jój przedmieście bywa u nas chętnie.

Margrabina.

Być może, ale trzeba strzedz się gadaninek,  
Często świat źle tłumaczy kobiecy uczynek;  
Pobożność bywa celem złośliwego śmiechu,  
A dewotkom rad każdy przypiąć łatkę grzechu.

Delatour.

Pobożność pani tak jest świętą i duchową,  
Że ją żadne złośliwe nie dosięgnie słowo.

Margrabina.

Kto wie? Mogą powiedzieć, a to mnie obchodzi,  
Że pobożność nie w parze z grą giełdową chodzi;  
Ztąd plotki i pójść może między ludzkie uszy,  
Że odwracam myśl moją od zbawienia duszy.

Delatour.

Niech mówią co chcą; pieniądz to grunt: nim świat żyje.

Margrabina.

To prawda, kiedy go się pobożnie użyje;  
Jeśli mi Bóg poszczęści w tój giełdowej sprawie,  
Czynię wotum że kościół z zarobku wystawię.

Delatour.

Tak uświęcać zarobek, to prawo do nowych  
I brać niebo do współki w obrotach giełdowych.  
*(odprowadza margrabinę do drzwi w głębi sceny).*

## SCENA TRZECIA.

DELATOUR, DUBOIS.

*(Dubois oddaje panu Delatourowi wiele listów, pomiędzy temi jest i od Leona).*

Delatour *(czytając jeden list)*.

„Kup na Lyon dwadzieścia pięć” Benoit właściciel.

*(czytając inne podpisy)*

„Baulieu sędzia pokoju; Durand nauczyciel;

„Gros, doktor, Arnold, adjunkt.— Ilość nieskończona!

Jeszcze jeden od kogóż?

*(bierze list który Piotr przyniósł)*

A, a! od Leona.

*(czytając)*

„Przybędę koło piątej”— To już piąta blisko.

*(do Dubois)*

Przyjąć, gdy pana Desroches usłyszysz nazwisko.

*(odczytując list)*

„Mam zbyt ważny interes”— Jeszcze jedno dziecko,

Trzy procentowym ogniem sparzy się zdradziecko!

— Dubois, co to za krzyki były przy drzwiach blisko?

Dubois *(tonem niewiniątka)*.

Krzyki, panie?

Delatour.

Tak, krzyki: jakieś zbiegowisko.

Dubois.

A to pewno klienci; gdy zamknięte biuro

Pragną widzieć się z panem, nadchodzą tu chmurą;

A że mam rozkaz wstrzymać, odwrócić ich szyki,

Ztąd skargi, narzekania i te głośne krzyki.

Delatour.

Dubois!

Dubois.

Co pan rozkaże?

Delatour.

Dochodzi mnie z boku,

Że masz piękne dochody przeszło już od roku.

Dubois.

Dochody? Pan wie o nich z zasług, z płacy rocznej.

Delatour.

Ale nie wiem co z szachrajstw i lichwy ubocznój:  
Jesteś mówią meklerem z lokaja niegodnie.

(surowo)

Przestrzegam cię, bo jeżeli w tém się udowodnię...

Dubois.

O! tego się nie lękam, mam sumienie czyste:  
To moich nieprzyjaciół plotki oczywiste.

Lokaj (unonsuje).

Pan Leon Desroches.

## SCENA CZWARTA.

DELATOUR, LEON.

Delatour, (*idąc naprzeciw Leona*).

Witam, witam cię serdecznie;  
Cóż cię drogi Leonie tu sprowadza?

Leon.

Wiecznie,  
Jeden śpiew zakochanych, czuła pieśń multanki.

Delatour.

No, cóż?

Leon.

A masz czas, dłużej wysłuchać sielanki?

Delatour.

Czemuż nie? Pieśń ta u nas ma dobre przyjęcie;  
Wieśniak marzy o premiach, pieniądzach, procencie:  
My marzym o strumykach, murawie i trzodach,  
Łące, świeżym drzew cieniu, o polach, ogrodach:  
Mów.

(*wskazuje Leonowi fotel przy stoliku pośrodku salonu, przysuwając dla siebie krzesło obok niego*).

Leon.

Jedyném mé mieniem kilka morgów ziemi,  
W której grzebię o pocie rękoma własnymi,  
Jak mój ojciec, gdzie przeżył wszystkie swoje lata.

Delatour (*z deklamacyą*).

Szczęśliwy ten co zdala od marności świata,  
Od znikomych milionów, w rannój życia porze,  
Sam za pługiem, wołami łan ojezysty orze!  
No, słucham.

Leon.

Sąsiaduje tuż, koło mnie blisko,  
Opasły, szczerzy, wesół, pocziwie człeczysko,  
Jé, gawędzi, poluje; ale to go boli,  
Że mam pod jego bokiem kilka morgów roli,  
Bo to mu nie na rękę, spędza uśmiech z czoła.

Delatour.

Twój pocziwiec zapewne ma córkę?

Leon.

Anioła.

Skromna obok powagi, ma przymioty świetne,  
Nienawidzi co płaskie, kocha co szlachetne:  
Przytém boski wdzięk twarzy duszę tę ugodnia.

Delatour.

Tam do licha.

Leon.

W ich domu bywam prawie codnia.  
Wziął mnie stary do serca, z nim we wszystkie czasy,  
Strzelał bąki za stołem, na błotach bekasy;  
Słucham jego powiastek bez przerwy spoczynku;  
W lecie pod gołym niebem, w zimie przy kominku  
Gada jedno sto razy, śmieje się, wykrzyka,  
Tylko córki obecność usta mu przynyma:  
Słowem, tak go umiałem przywiązać ogromnie,  
Że kiedy dziś nie przyjdę, sam przychodzi po mnie.

Delatour.

To zręcznie.

Leon, *(jak gdyby mówił do siebie)*.

Jakże słodkie z nią chwile! Szczególnie ta chwila,  
Gdy się ku zachodowi słońce już pochyla,  
I wieczór—wietrzyk westchnie, wkoło cicho, głucho,  
Czasem lekki szmer ze wsi trąci nasze ucho.  
O! błogie to wspomnienie, co myśl zwraca do niej,  
Jak zwierzała dłoń drżącą, mojej drżącój dłoni,  
Jakem dojrzał wschodzącą w wieczorném przezroczu,  
Pierwszą zorzę miłości na niebie jój oczu.

Delatour.

Sielanka.

Leon *(wstaje nagle)*.

Raz jój ojciec w wesołym porywie,  
Rzecz do mnie: „sąsiedzie lubię cię, prawdziwie,

Delatour.

Wstęp niezły.

Leon.

„Bo towarzyszy z ciebie jakich rzadko.  
Strzelasz tego, jész dobrze, i wypijesz gładko;  
Czas mi już wydać za mąż córkę urodziwą,  
Wiem ja wiem że ty na nią nie patrzysz zbyt krzywo;  
Stotysięczków w posagu, już czeka w potrzebie;  
Sam więc zwazże sąsiedzie.... ona nie dla ciebie.”

Delatour.

A, potwór.

Leon.

„Ty nie nie masz lub coś z odrobiny.  
To nie znuiejsza twych zalet, ani zwiększa winy;  
Więc się nie wstydz, nie ruinień, ty masz więcój bowiem:  
Przystojnie się prowadzisz i cieszysz się zdrowiem.”

*(Do Delatoura).*

Jak znajdujesz pocziwca.

Delatour.

Zabawny.

Leon.

Więc mówi:

„Przeznaczam moją córkę hrabiemu Motowi,  
Jego grunt z mym się styka, więc zniósłszy granicę,  
Zrobię z tego największy park na okolicę;  
Tymczasem, zięć mój przyszły, dochodzi mnie zdala,  
Na częstą twoją bytność u mnie się użala.  
I ludzie coś tam gwarzą, obmów się nie strzegą,  
Ot głupstwo, jak gdyby w tém mogło być co złego;  
Lecz się nie troszcz, zaczekaj niechno się pobiera,  
Przyjdiesz znów, będziem we dwóch z tą przyjaźnią szczerą  
Gawędzić przy butelkach, strącać onym szyjki,  
I śmiać się: mam dla ciebie nowe dykteryjki.”

*(tonem naturalnym),*

Tak, nowe! Jabym miał przyjść, cieszyć się z przyjęcia?  
Nie głupim niechaj niemi bawi swego zięcia!

Delatour.

Czyś już odtąd nie widział córki?

Leon.

Po wytrwałem

Śledzeniu i zabiegach raz ją napotkałem;  
„Leonie, rzekła do mnie, wchodzę w stan twój doli,  
A troska co cię boli i mnie równie boli.  
Niech wyznanie to moje, jako serca echo,  
Będzie ulgą w twym losie, w cierpieniach pociechą;  
Lecz nie widuj mnie więcój, chyba z ojca wolą:  
Gdyby ostrą mnie przykuł opiekun niewolą,

Możebym słusznój dumy draśnięta załobą  
 Szukała zemsty na nim w częstych schadzkach z tobą;  
 Lecz mój ojciec mną rządzi tak słodko, łagodnie,  
 Że zdradzając go, ciężką spełniałabym zbrodnię;  
 Zawierzył mi zupełnie i ma słowo moje,  
 Że nie będziem sam na sam rozmawiać we dwoje;  
 Wiesz dobrze że daremnych przyrzeczeń nie robię,  
 A chybiając im, sama chybiałabym sobie;  
 Słowo me więc, mnie więcej przeciw tobie strzeże:  
 Nie ustrzegłyby krata, łańcuchy i wieże."

Delatour.

Dobrze mówi, pochwalam to postanowienie,  
 A ceniąc słów jój wartość i osobę cenię.

Leon.

"Żegnaj cię, powiem ojcu tuląc uścisk bratni,  
 Żem cię dzisiaj widziała, lecz już raz ostatni;  
 Z tém wszystkiem, nie rozpaczaj, ojciec ciebie kocha,  
 Lecz na czas, oddalenie i na mnie też trocha.  
 Żegnaj cię, wola jego nademną zwycięża;  
 Lecz serce ciebie tylko obiera za męża."

Delatour (*wstając*).

A więc idź za jój radą—dobra pomoc może.  
 Czekaj.

Leon.

Czekać! czyż czekać, to żyć? Wielki Boże!  
 Mam czekać?—Nie, tyś nigdy nie kochał jak widzę.

Delatour.

Tak widzisz?

Leon.

Ach! zważ tylko, kiedy się ja biédzę,  
 Sam miotany nadzieją, w torturach kochania  
 Wyżywam jak truciznę, dnie oczekiwania,  
 Mój rywal jest w ich domu przez ojca wezwany,  
 Przy niej, od niej przyjęty i przez nią słuchany.  
 Któż to wie, czy nie utkwi w sercu córki młodem,  
 Jad słówek, co z ust trzpiota poleje się miodem;  
 Słówek strutych nieczystych oddechem salonów,  
 Nieznanych śród strzech wiejskich i wiejskich zagonów:  
 Co za ból!

Delatour.

Nie: ma rozum i wolę niegiętką,  
 Nie da się ona złapać takich słówek wędką.

Leon.

Tak sądziłem, lecz próżno już od trzech miesięcy,  
 Listu lub wieści od niej czekam najgoręcej.

Błądzą koło jój domu, patrzę w głąb mieszkania,  
 Na ten raj utracony, co mnie zeń wygania;  
 Weiskam wzrok w szyby okien, wzrok chciwy kochanka:  
 Żadna się nie uchyli u okien firanka.  
 Zapomniała już o mnie, a ku mojej zgubie,  
 Przebąkują już głośno o rychłym ich ślubie.

Delatour.

Bajki, bajki.

Leon.

Nie, teraz myśl się wierzyć skłania,  
 Że to samo mi wróżył chłód jój pożegnania,  
 W niej sam mówił rozsądek, serce tchnęło zimnem,  
 Nie wylały się słowa z ust miłości hymnem.

Delatour.

A ja sędzę inaczej. Nie rachuję dużo,  
 Na potok słów szumiących, wygłoszonych burzą.  
 Mówiła dosyć: więcej byłoby złą cechą,  
 Właśnie w skromnej słów liczbie, gra miłości echo.  
 W silnym postanowieniu po cóż się słów imać,  
 Nie trzeba w tém przysięgi, co się ma dotrzymać.  
 W miłości, jak na wojnie, w razach większej wagi,  
 Ten co najgłośniej krzyczy, najmniej ma odwagi.

Leon (*zaledwie go słuchając*).

Nie, nie mogę już czekać w tak grożącej dobie.

Delatour.

Cóż poczniesz?

Loon.

Pocznę.

Delatour.

I cóż?

Leon.

Przypomniałem sobie,  
 Że w Paryżu szkolnego mam kolegę; zatem  
 On usłużyć mi może: zawiódłbym się na tém?

Delatour, (*wyciągając don rękę*).

Nie.

Leon.

Przedałem mą ziemię dającemu więcej,  
 Otrzymane z sprzedaży sześćdziesiąt tysięcy,  
 Przynoszę ci, by je grze giełdowej poślubić,  
 Potroić ojcowiznę—lub ją całkiem zgubić.

*Delatour, (z przerażeniem).*

Grze giełdowój! Szalony!...—Wieszże co to znaczy?

*(Z deklamacją).*

Uciekaj od tych brzegów przekleństw i rozpacz?

*(Biorąc go za ramię jakby do odwrótu)*

Uciekaj!

**Leon.**

Nie, gdy z ust twych spotka mnie odmowa,  
Pójdę dalej, słodsze gdzie usłyszeć słowa.

**Delatour.**

Ale dla niewinnego, jak ty jesteś dziecka,  
Giełda—to straszna otchłań, to przepaść zbrojecka;  
Giełda—to sfinks co durzy, gdy ku sobie skłania,  
Na jednego Edypa, tysiące pochłania.  
A przychodzień którego olśni i ogłuszy,  
Wraca ztamtąd milczący, blade z piekłem w duszy!  
Ileż łez na tym progu, co nęcił uśmiechem,  
A sklepienia brzmią jego samych przekleństw echem:  
Uciekaj!

**Leon.**

Lecz, odstepco! bluźnisz swemu Bogu,  
Nie jesteś ty kapłanem na tym świętym progu?  
A miejsce co potępiasz, kazisz tak widocznie,  
Nie jest-że tém z którego głosisz swe wyroczenie?

**Delatour.**

O! bo znam jego zdradę, bezdeń téj kałuży,  
Najmniej wierzy w Baala ten który mu służy.  
Gdyby stanął przedemną kto inny, o! może  
Czcilibym przed nim to bóstwo, którym dochód mnożę;  
Lecz nie mogę poświęcać, wtrącać w przepaść zdradnie,  
Przyjaciela, co wiarę, ufność we mnie kładnie.

Nie mieszam w jedno, nie mam za rzecz jednakową,  
Powaznych działań giełdy, z samą grą giełdową;  
Pierwsza, kupiąc rozpierzchnę siły kapitału,  
Na przemyśl i na sztuki wpływa niepomatu;  
Ileż śmielszych przedsięwzięć, planów wielkich, czystych,  
Nie doszłoby, przepadło w cieniach wiekuistych,  
Gdyby giełda, ich słońce nie przyszła w ostatku,  
Ogrzać je swym oddechem i dźwignąć z upadku?  
Wiele mógłbym wyliczyć takich ze współbraci,  
Którym za trud podobny świat szacunkiem płaci,  
Których mienie, dostatki i zasób pieniężny  
Idą na warsztat pracy, jak one potężnej;  
Lecz twój cel wcale inny: inna jego meta.

**Leon.**

Zapewne, czyżbym to mógł?

Delatour.

I dążność twa nie ta,  
Ty grać pragniesz?

Leon.

Zdaje się.

Delatour

*(daje mu znak aby usiadł, a sam stoi w miejscu)*

A więc słuchaj, bracie,  
To ci mówię do ucha i wyłącznie dla cię:  
Wam wieśniakom się zdaje, że giełda to gra ta,  
Gdzie jak zwykle, zysk daje, a odbiera strata.  
Nie: w dwóch obozach staje szereg graczy długi:  
Po jednej stronie słabi, a silni po drugiej;  
Gdy pieniądze orężny zajmie boju ścieśzkę,  
On sam jeden stanowi spadek lub podwyżkę.  
Tak dalece, że będąc panem bojowiska,  
Słaby hufiec wciąż traci, gdy silny wciąż zyska.  
W nierównym pojedynku i zrzeczność usłuży,  
Jednym wieść w czas schwycona, wykrzesze zysk duży;  
Ci z umysłu fałsz sieją, a bijąc w dzwon trwogi,  
Z ogólnego popłochu wynoszą płon błogi;  
Inni znów, dywidendy zwabiając rozkoszą,  
Kruczego przedsiębiorstwa akcye podnoszą;  
Potém się ich pozbywszy z chęcią równie szczerą,  
Też akcye wbrew nabywców zniżają na zero.  
Uciekaj ztąd, uciekaj.

Leon *(wstając)*.

Przecież są i zyski:

Widziałem świetny przykład. A chociaż grunt śliski,  
To można iść powoli, nie stawać na przedzie;  
Może téż Bóg kochanków dobrze mnie powiedzie.

Delatour.

Byłbyś jednym z wybranych, życzeń najgoręcej;  
Lecz gdy wiele zarobisz, zechcesz jeszcze więcej:  
Zysk zaostrza pragnienie, złoto zawrót niesie,  
Po zdobytym dostatku, ofitości chce się;  
Obfitość wzrok odsłania i chęć dumną bodzie,  
Do przepychów i władzy i zamków na lodzie.  
Z niczego coś się rodzi, mało daje więcej;  
Aby przyjść do tysięcy, dość jest chcieć tysięcy.  
Gdy więc cięższe przebyte, człek ma ślad utartój,  
Idzie brzegiem przepaści tuż przed nim otwarty;  
Śmiało i coraz dalej, a gdy już przy kresie:  
Upada—i z upadku już się nie podniesie.  
Otóż znana historia zgubionych u celu,  
A może być i twoją, młody przyjacielu.

Leon.

O jestem pewny siebie. Gdy osiągnę rękę  
Kochanój; zatrzymam się.

Delatour.

Znam ja tę piosenkę!

—A jak stracisz?

Leon.

Jak stracę?

Delatour.

Bo już cię to bywa,  
I najzręczniejszy także traci i przegrywa.

Leon.

Jak stracę....

Delatour.

To cóż potem? jaka na to rada?  
Nie szukaj jój w odwadze: ta ci nic nie nada.  
Cierpliwą pracę, szyderstw świat okrywa śmiechem.  
A ogromne korzyści nabyte pospiechem:  
To właśnie najzgubniejszy skutek tych pocisków,  
Zniechęcają na zawsze do powolnych zysków.  
I cóż poczniesz?

Leon.

Ha! zamknę wieczny ból w ukryciu,  
Utraciwszy Kamillę, cóż mi już po życiu;  
Nic lub trocha, to jedno, jedno dla mnie znaczy:  
Umrzeć z głodu czy bez niej żyć—a żyć w rozpacz.

Delatour.

Lecz....

Leon.

To tylko mnie zbawi i nadzieję krzepi:  
Chwytam się tego.

Delatour.

Jednak....

Leon.

Nie mów—działaj lepiej.

